

Dwójka Trefl

3 maja 2008

Ale czasy nastały. Życie ludzkie zależy od głupstwa, od jednej dwójki trefl. Nie wierzycie? Toż właśnie w tej chwili o moim przetrwaniu zadecyduje dwójka trefl. Tak, kochana dwójeczka trefl warta jest tyle, co moje życie. Moje życie to dwójka trefl. Jeśli ją znajdę, wyciągnę ją. Pochylę przed nią czoła. Przyłożę ją do serca. Nie rozstanę się z nią do końca moich dni, przysięgam. Przewlokę przez nią złoty łańcuszek i zawieszę ją sobie na szyi jak amulet, jak talizman, który mnie uratował i może jeszcze kiedyś uchroni mnie od nieszczęścia, od złego oka i niebezpieczeństwa, zwłaszcza w tych czasach, gdy zagrożenia spadają na człowieka ze wszystkich stron jak szarańcza.

Przysięgam, dam ją fotografowi do powiększenia. Potem dobiorę do niej ramkę i powieszę ją w domu na ścianie. W ten sposób pierwszą moją czynnością każdego ranka po przebudzeniu będzie złożenie jej pokłonu, a potem...

O Boże, żeby tylko ta karta, którą zaraz wezmę, była dwójką trefl. Sięgam po nią. Król karo. Cholera! Do diaska ze wszystkimi królami karo. Na co mi teraz król. Tylko dwójka trefl może mnie uratować. Żadna inna karta tego nie robi, nawet król dzwonków. Odkładam go na kupkę odrzuconych kart. Gramy w nouranga. Siedzę po jednej stronie szerokiej chusty w kratkę jak jaki zając w pułapce. Mój przeciwnik rozsiadł się po drugiej stronie niczym orlisko, które ma mnie w szponach. Śledzi bacznie każdy mój ruch. Uśmieszek, który wykrzywił jego wargi, jeszcze zwiększa moje przerażenie. Żeby tylko król karo nie przydał się jemu, nie dopełnił jego sekwensu. Serce kołacze mi w piersi tak mocno, że mało się z niej nie wyrwie. Dobrze mi tak, ja przeklęty. Pozwoliłem sobie na chwilkę nieuwagi i proszę, co z tego wynikło – tkwię teraz w tej pułapce. Całe życie będę tego żałował, rzecz jasna, jeśli jakieś życie mi jeszcze pozostało. To wprost komiczne.

Zrozumiałem teraz, że tak naprawdę zwierzyzna daje się złapać przez własne gapiostwo. Jeżeli orzeł rozrywa na strzępy wystraszonego szaraka, ten sam sobie winien. Dlaczego przeklęty nie był na tyle czujny, żeby... Ja też dosłownie przez moment się rozprężyłem, zapadłem w drzemkę i proszę... Szkoda, że podczas niej nie zginąłem, że musiałem się zbudzić tylko po to, by znaleźć się w tym groteskowym położeniu, w oczekiwaniu na dwójkę trefl.

– Co za kartę żeś odłożył? – warczy mój przeciwnik.

Prawda, nie mogę błądzić myślami. Jeżeli znów pozwolę sobie nawet na chwilę nieuwagi, zyska nade mną przewagę. A wtedy koniec z nadzieją na dwójkę trefl – i koniec ze mną.

– Króla karo.

– Mnie też na nic się nie zda.

Sięga po kartę. Brak mu wskazującego palca. Na pewno stracił go na wojnie. Jak też on pociąga za cyngiel? Może środkowym? Trudno strzelać środkowym palcem, nie ma takiego refleksu. Gdzie tam trudno. Przecież gdyby nie wykazał się zręcznością na wojnie, nie byłby teraz komendantem... Przeklęty, znów pobiegłeś myślami nie wiadomo dokąd, znów jesteś nieuwważny! On przygląda się w skupieniu nowej karcie. Ocenia jej przydatność pod kątem tych, które ma w ręku. Czyżby zdobył sekvens? Serce znów wali mi młotem. Przeklęty, masz za swoje, popamiętasz tę fatalną sytuację do końca życia, więcej już nie zasypiaj, gdy nie czas. W porządku, zapamiętam to do końca życia. Już nie pozwolę sobie na utratę czujności i drzemkę. Przeklęty, co się łudzisz myśleniem o przyszłości, koniec z tobą. W grobie będziesz mógł sobie chrapać do woli. Tylko że to nie moja wina, że zmorzył mnie sen. Minionej nocy w ogóle nie spałem, więc cały dzień byłem potwornie zmęczony. Wczoraj od pierwszych godzin wieczornych zaczął się bezlitosny ostrzał. Parszywce w domy walili tak, jakby deszcz kuł na nas padał. Jakby zawisła nad nami wiosenna chmura, tyle że pociski się z

niej łały. Żona tuliła dzieci do siebie i powtarzała: „Niechże to się wreszcie skończy, chwilę byśmy się przespali. Amunicji to oni chyba mają nieskończone zapasy”.

Wyobraziłem sobie, że do swoich działek przyczepili pasy z nabojami, które ciągną się w nieskończoność. Wyobraziłem sobie, że te pasy podłączone są do wszystkich zbrojowni świata. Że naboje wiją się długim szeregiem, przesuwają jeden za drugim, aż docierają do mechanizmu lufy i siekają z niej gęstym gradobiciem. Gdy zaczął się ostrzał rakietowy, żona zawołała: „Szybko, wstawajcie, schodzimy pod ziemię. W domu teraz strach”.

Zabraliśmy kołdry i materace i zbiegliśmy do piwnicy. Walili tak do bladego świtu, gdy pora już, by muezin wzywał na modlitwę. Przyznajcie, miałem prawo chwilkę sobie przysnąć. Wierzcie mi, minionej nocy oka nie zmrużyłem, A rankiem trzeba było jechać do pracy. Gdzie tam do pracy. Włóczyć się w jej poszukiwaniu...

– Gdzie ty biegasz myślami? – rzuca gniewnie przeciwnik.

Rechot. Jego kumple siedzą wokół nas i obserwują grę. Karabiny złożyli na kolanach. Gdy nasze oczy się spotykają, zaczynam drżeć na całym ciele, nawet ręce mi się trzęsą. Jak wataha zgłodniałych wilków czekają tylko na rozkaz, na chwilę, gdy będą mogli rzucić się na swój łup.

Chyba że trafi mi się dwójka trefl. Zaciskam powieki i biorę z kupki kartę. Podnoszę ją na wysokość oczu. Panie Boże spraw, by rozświeciliły się radosnym widokiem precudnej dwójeczki żołędzia. Unoszę powoli powieki. Cholera, dama serce. Niech ją, komu teraz w głowie sercowe gierki. Ciskam ją na ziemię, na kupkę z odrzuconymi kartami.

– Nie stresuj się tak. Takie jest życie. Cokolwiek się zdarzy, musisz być na to przygotowany. Musisz to zaakceptować.

Jego kumple znów parskają śmiechem. Tak mnie to drażni, jakby

kto jeździł mi piłą po nerwach. Oj tak, życie jest jak ta gra w karty. Nie mamy pojęcia, jaką wartość ma karta, którą właśnie bierzemy. Czy się do czego przyda, czy nie. Czy dzięki niej poprawi się nasz los? Oj tak, jeśli będzie to karta, jakiej życzysz ci przeciwnik, to oznaczać będzie wyrok śmierci na ciebie, ale jeśli taka, jakiej sam pragniesz, przyniesie ci życie. Dana ci została jeszcze jedna szansa, żeby przeżyć.

– Dam ci jeszcze jedną szansę.

Tak powiedział przeciwnik. Równo godzinę temu, po czym zebrał karty i je potasował.

– Dobrze. Jaką? – wydusiłem z siebie głuchym głosem, jakby dobiegał z dna studni.

– Dam ci tę jedną szansę, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim warunkiem?

– Zagramy razem w nouranga. Jeżeli wygrasz ty, puszcę cię wolno, jeżeli wygram ja, wtedy sam musisz wstać i pójść pod ścianę. Na posterunku jest nas trzydziestu chłopów. Każdy z nas odda po jednym, tylko jednym strzałem...

Jak też będę wyglądał, jeśli przeszyje mnie trzydzieści kul? Co ze mnie pozostanie? Głowa, piersi i nogi podziurawione jak sito. Wstrząsa mną dreszcz, tak silny, że karty omal nie powypadały mi z ręki na ziemię. Dłonie mam spocone, drżą mi. Widzi to i mój przeciwnik, i jego towarzysze.

– Papierosa!

To powiedział on. Jeden z jego ludzi zapala mu papierosa.

– Zapalisz? – zwraca się do mnie.

Jak na razie nie paliłem. Ale myślę, że dobrze mi to zrobi na moje stargane nerwy. Jestem cały roztrzęsiony.

-Tak.

Daje mi tego papierosa. Jeden z jego ludzi zapala mu drugiego. Zaciągam się. Dym wypełnia mi piersi. Trochę się uspokajam. Przed oczami tworzy mi się zasłona dymu.

– Zasnąłeś, mówisz – śmieje się. A kompania do wtóru.

Ześlij mi dwójkę trefl, Boże. Oślepiłem już od tego wypatrywania jej. Gdzie jesteś, dwójko trefl? Pozostałe sekwensy mam już skompletowane: 10, 9, 8, 7 pik, 6, 7, 8 karo, 3 i 4 trefl. Tylko tej nieszczęsnej dwójki żołądź mi jeszcze brakuje, by i trzeci sekwens był cały. Piątkę trefl ma przeciwnik. Wiem to, inaczej też by się nadała.

– Nie powiedziałaś, jak to się stało, żeś zasnął.

– Mniejsza o to, daj mi grać – ucinam.

Świnia, chce mnie rozproszyć. Zrozumiał, że nie jestem przeciwnikiem, który łatwo się poddaje.

– Czy kierowca minibusu nie wołał?

– Wołał.

Przypominają mi się wydarzenia tego dnia. Wraciałem minibusem do domu. Było już dobrze po południu, a ja zmęczony, zgnębiony, niewyspany i zły. Ledwie ruszyliśmy, ogarnęła mnie potworna senność. Warkot motoru usypiał lepiej niż najśłodsza kołysanka. Oczy mnie piekły z braku snu. Pomyślałem, że może przejdzie, jeśli się trochę zdrzemnę. I odpłynąłem. Fala wycieńczenia wciągnęła mnie w ocean snu. Ślizgałem się po niej lekki jak piórko i odpływałem dalej i dalej. Mimo że niewyraźne poczucie zagrożenia przyzywało mnie z powrotem na brzeg jawy i ciągnęło w tył niczym niewidzialna lina. Ale znużenie było silniejsze i całkiem wessało mnie w swoje głębie.

– Wstawaj!

Wzdrygnąłem się. Przetarłem oczy i przez długą chwilę nie

wiedziałem, gdzie jestem. Stało nade mną dwu uzbrojonych facetów. – Wstawaj! – śmiali się – sam żeś się napatoczył.

– Witamy! – mówił drugi.

Siedziałem w minibusie całkiem ogłupiały. Spojrzałem na pozostałych pasażerów. W ich oczach dojrzałem smutek. Patrzyli na mnie tak, jak patrzy się na człowieka, którego porwał spieniony nurt rzeki i który woła o ratunek, ale żadnym sposobem nie można mu pomóc.

– Boże wielki! Jak to się stało, że dojechałem aż tutaj?! – te słowa wypowiedziałem na głos.

– Dobra dobra, wysiadka – zaśmiali się znów chrapliwie.

Dotarliśmy do ich punktu kontrolnego. Kiedy wyprowadzali mnie z minibusu, rzuciłem do kierowcy.

– Ty łajdaku! Czegoś mnie nie wywołał?!

– Przysięgam na Boga – zapewnił mnie – w Dehmazangu kilka razy krzyknąłem: „Pasztuni, wysiadka!”. Musiałeś wtedy spać.

Za Dehmazangiem nie mieliśmy już prawa zapuszczać się w te rejony miasta. Tu mieszkali Hazarzy. Wszyscy Pasztuni wysiadali w Dehmazangu. Odkąd zaczęła się wojna, Hazarzy skupili się na zachodzie, Pasztuni na południu i na wschodzie, a w pozostałych rejonach Kabulu ludzie byli wymieszani. Podobnie Hazarzy nie mieli prawa wstępu do dzielnicy pasztuńskiej. Gdy kierowcy z pasażerami docierali do jej granicy, wołali głośno, żeby każdy pasażer nieuprawniony do dalszej jazdy wysiadł, czy to Hazar, czy przy drugim posterunku Pasztun. Gdyby tego nie zrobił, po drugiej stronie linii granicznej groziła mu śmierć. I właśnie ja przez krótką drzemkę nie usłyszałem ostrzeżenia kierowcy. Przez chwilę nieuwagi zwierzyna wpadła w sidła.

– Nie zastanawiaj się tyle, w życiu albo się wygrywa, albo przegrywa. No już, graj dalej – chichocze przeciwnik.

Kiedy śmieje się ta zgraja jego towarzyszy, co obsiedli nas zwartym kręgiem, widać ich zęby pożółkłe od papierosów. Nerwy znów odmawiają mi posłuszeństwa.

– Grajże! Albo tron, albo trumna.

Co teraz czują moja żona, moje dzieci? Im bardziej będę rozkojarzony, tym większe prawdopodobieństwo, że przegram. Nie mogę się poddać. Życie jest zbyt cenne, by tak łatwo je stracić, nawet jeśli zależy od durnej dwójki trefl. Odrywam myśli od całego świata, od żony i dzieci, od pracy, od wszystkiego. Jeżeli będzie trzeba, to przyciągnę je siłą, sprowadzę tu do tego pokoju w punkcie kontrolnym. Posadzę przy partyjce gry hazardowej. Naprzeciw dowódcy, który jest teraz moim przeciwnikiem. Tak jak oni mnie tu przyciągnęli siłą i posadzili na ziemi przy chuście. Wcześniej jednak związali mi ręce. Komendant hazardował sobie w najlepsze z kilkoma z tych, co teraz siedzą naokoło nas i tylko czekają, aż przegram. Na pewno mają chętkę na jeszcze jedno krwawe widowisko tego dnia.

– A on co za jeden? Na coście go tu przyprowadzili?

– To Pasztun, wysadziliśmy go z minibusu.

Komendant się zaśmiał. Choć pokój zasnuwała mgiełka dymu z papierosów i haszyszu, zobaczyłem te jego żółte zęby. Dwa miał złamane.

– Życie ci niemiłe? Dokąd tyś się niby wybierał?

– Na pewno do Qal'e-je Wahed albo do Choszhal Chanu.

Wciąż byłem skołowany i śnięty. Ich dowódca siedział przede mną z tą swoją twarzą obrosłą brudnymi włosami zbitymi w strąki, które złączyły się z jego brodą i ciskał we mnie pytania. Musiałem być przytomny i czujny i udzielać mu właściwych odpowiedzi. Moje życie i śmierć były w jego rękach.

– Nie wiedziałeś, że jak Pasztuni zapuszczają się w te strony, to ich zabijamy, tak samo jak wy zabijacie naszych Hazarów?

– Przysięgam na Boga, panie komendancie, prawda jest taka, jestem mężczyzną, mówię szczerze – zmorzył mnie sen. W przeciwnym razie nigdy bym nie przyjechał aż tutaj.

Wybuchają głośnym śmiechem. Chwytam się ostatniej deski ratunku, niczym człowiek, którego porwała woda i który łapie się wszystkiego, co znajdzie w zasięgu ręki i pytam: „Panie oficerze, gra pan w karty?”.

To moja ostatnia strzała. Wystrzeliłem ją z desperacji. Może okaże się trafna.

– Tak. Ty też?

– Jasne! – uradowałem się. Wywiązała się między nami rozmowa. Miało to przynajmniej tę dobrą stronę, że odsuwało moją śmierć odrobinę w czasie, zwłaszcza że im było tak spieszno. Nudziło im się, bo komendant ociągał się z wydaniem rozkazu.

– A w co grasz?

– We wszystko, w fiskota, trójkąta, czterech walich, królewskiego złodziejaska, pasura.

– W nouranga też?

-Też.

– Świetnie, dam ci jeszcze jedną szansę. Rozwiązać go.

Dał jeszcze jedną szansę. Zebrali pieniądze i karty. Uwolnili mi ręce. Pole było wolne dla mnie i dla niego. Usiadłem naprzeciwko. I zacząłem rozgrywać tę partyjkę na śmierć i życie.

A teraz gdzie jesteś, dwójko trefl, moja ty przepustko na wolność? Oznaczasz dla mnie powrót do domu, do żony i dzieci. Biorę kartę. Nie, to nie upragniona dwójeczka. To siódemka żołądź. Odrzucam ją na drugą kupkę. Przeciwnik śmieje się i bierze ją do ręki. Serce mi zamiera. Ręce i nogi drętwieją.

Ich rżenie rozsadza pokój. Dwóch drabów chwyta mnie z obu stron za ręce i podciąga do góry. Wyprowadzają mnie na zewnątrz. Szarpię się. Za nami wychodzi ze śmiechem komendant z resztą swoich ludzi. Tych dwu ciągnie mnie za sobą i popycha pod ścianę. Nie mam siły ustać na nogach ani uciekać. Z gardła wydobywają mi się chrapliwe dźwięki, nic nie znaczące, niezrozumiałe, które wywołują w nich jeszcze większe rozbawienie. Widzę, jak przygotowują się do oddania ognia. „Chłopaki, tylko jeden strzał”, upomina ich dowódca, „każdy z was tylko po jednej kuli. Tak jak wcześniej ustaliliśmy”.

Zamykam oczy. Kufę wylatują jedna za drugą, po kolei.

– Niewiele brakowało, a ta siódemka słono by cię kosztowała – mruczy przeciwnik. – Skup się, brakuje mi tylko jednej karty.

– Mnie też – nie mogę sprawiać wrażenia słabego.

– Wiem jakiej – śmieje się chytrze.

Jak dotąd wziął piątkę i siódmkę trefl. Na pewno czeka na szóstkę tego koloru.

– Ja też wiem, jakiej ty chcesz. – Na te słowa pochmurnieje.

– Niech i tak będzie. Raz dwa, bierz już.

Obaj jesteśmy w takiej samej sytuacji. Jeden do jednego. Jednej karty brakuje jemu, jednej mnie. Teraz wszystko zależy od łutu szczęścia, Kto go będzie miał, ten zdobędzie swoją kartę. Muszę wziąć następną. Kładę dłoń na kupce. Boże, ześlij mi dwójkę trefl, odtąd będę najwierniejszym z twoich sług. Przysięgam, stanę się twym dobrym poddanym. Nie pomnę żadnej z modlitw przepisanych na dobę. Będę dawał przykazaną jałmużnę. Będę dobrze traktował twoje sługi, będę...

Biorę kartę. Nie dwójka trefl. To szóstka trefl. Też nieźle. To karta, na jaką on czeka. Zatrzymuję ją, a zamiast niej odkładam jakąś zbędną z ręki. Niech mu się nie wydaje, że może mnie łatwo ograć. Teraz warunek do jego wygranej mam u siebie.

Teraz nie może już wygrać i mnie zabić. Uratowałem się przed śmiercią, ale żeby odzyskać wolność, muszę czekać na dwójkę trefl...

Na ziemi pozostała już tylko jedna karta. Jego kolej. Bierze. Oczy mu się rozjaśniają. Śmieje się. Pokazuje mi ją:

– Na nią czekałeś?

Dwójka trefl. Niech to szlag! Ostatnia karta, ostatnia nadzieja.

– Nie! Na inną.

Nie wolno mi się odsłonić. Śmieje się:

– To nic, choć ta dwójka trefl do niczego mi się nie przyda, zatrzymam ją.

I wsuwa ją między swoje karty. Moja przepustka na wolność jest wśród jego kart. Wyrównuje w dłoniach kupkę odrzuconych kart i kładzie ją z powrotem na chuście. Rozpoczynamy nową partię.

Autor: Mohammad Asaf Soltanzade

Tłumaczenie z perskiego: Ivonna Nowicka

Pierwodruk „Przegląd Orientalistyczny” nr 1-2 (220-221) 2007

Źródło: [Arabia](#)

O AUTORZE

Mohammad Asaf Soltanzade (ur. w 1964 r. w Kabulu) to pisarz afgański, który pod koniec lat 90. mieszkał na emigracji w Iranie, a od 2002 r. żyje w Danii. W Iranie na życie zarabiał wyszywaniem serwetek w fabryce. Zaintrygowany jego twórczością literacką wybitny członek Stowarzyszenia Pisarzy Irańskich, Huszang Golsziri (1938-2000), wprowadził go w teherańskie środowisko literackie. On też zamieścił kilka nowel Soltanzadego na łamach czasopisma „Karname” i stworzył mu możliwość debiutu książkowego – wydania zbioru ośmiu opowiadań „Dar goriz goni miszawim” (Gubimy się podczas ucieczki, Teheran 1379/2000) opublikowanego w serii promującej mało

znanych, a obiecujących pisarzy Madżmu'e-je Szahrzad, czyli Zbiór Szeherezady. Z tego tomu pochodzi powyższa nowela. Odtąd Soltanzade wydał jeszcze: „Nouruz faqat dar Kabol ba safast” (Nouruz udaje się tylko w Kabulu, Teheran 1382/2003) oraz „Inak Danmark” (Teraz Dania, Teheran 1383/2004). W 2002 r. w teherańskim Teatr-e Szahr wystawiono jego sztukę, w której ośmiesza rządy talibów, pokazując między innymi, jak karane są kobiety za trzymanie w domach kogutów, bo to przecież samce.